№ 3. Warszawa, dnia 5 (17) Stycznia 1885 roku.

TYGODNIK MÓD i POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

LOSY DWÓCH NIEWIAST.

SZKIC Z DZIEJÓW SPOŁECZEŃSTWA POLSKIEGO

W WIEKU SZESNASTYM

PRZEZ

L. S. W.

(Dalszy ciąg.)

Nieprzestając na tem i niechcąc oczekiwać tak odległego terminu, zawzięta i niecierpliwa Beata pobudzała licznych swych krewnych i przyjaciół, aby pomścili jej krzywdę.

W obec samowoli magnatów ówczesnych, wołania księżnej musiały znaleźć posłuch i zapewne było w pogotowiu niemało mścicieli. Książę Ostrogski mniej mógł dbać o te pogróżki i lepiej zabezpieczyć się od nich, a zresztą mało kto śmiałby targnąć się na jego życie, za to ks. Dymitr miał wszelkie podstawy do obaw o swoje życie: znikł więc razem z młodocianą żoną z Ostroga i z dóbr swych ukraińskich, tułając się i niewiadomo gdzie ukrywając. Z tego też powodu jak słusznie zaznaczali jego obrońcy, gdy nadszedł termin sądów królewskich, Dymitr nie stawił się wcale.

Nie stanął również i książę Konstanty, zapewne przez dumę i hardość. Był to błąd z ich strony i można było przewidzieć, że Ostrogskiemu wprawdzie za to nic się nie stanie, ale skrupi się wszystko na Dymitrze.

Prowadzono więc sprawę przez pełnomocników: ze strony Beaty, przemawiał Stanisław Sędziwój Czarnkowski; obrońcą Dymitra był Odachowski. Przebieg tego procesu obszernie podał nam w swych Dziejach Górnicki: są tam i długie mowy obu adwokatów.

Czarnkowski przedstawił przebieg wiadomych nam wypadków ze wszystkiemi przesadnemi, jednostronnemi, a wątpliwej prawdziwości, potępiającemi książąt szczegółami, jak o tem wspomnieliśmy już powyżej. Zaklinał w końcu króla, aby tak wielki gwałt przykładnie ukarał, bo gdyby to uszło ks. Dymitrowi, mówił, wnet „tysiąc tysięcy Dymitrów nastanie, a ludzie cnotliwi serce stracą, zwieszą głowę, rozumiejąc już gotowy upadek, bliżką skazę i śmierć tej korony; albowiem coby już nam było po prawach, co po sądach, co po sędziach, co po zwierzchności w. k. mości pana naszego? Jużby lepiej w puszczy między zwierzętami mieszkać."

Obrońca Dymitra, Odachowski, przytoczył w swej mowie dotknięte już przez nas powyżej okoliczności, a mianowicie, że napadu i gwałtu nie było, że 80 ludzi nie mogłoby poradzić tysiącu, że Halszka Dymitra kochała i dobrowolnie go poślubiła. Dodawał, że ks. Dymitr chętnie zrzeka się wiana żony i całego jej dziedzictwa, prosząc tylko, aby pozostawiono mu Halszkę. Odwoływał się do świadectwa samej Halszki, która potwierdzi, że żadnego gwałtu nie było, „byleby tylko zapytać jej o to w nieobecności matki." Ztąd widzimy, jak bierną istotą była księżniczka i jak obawiała się swej rodzicielki. Przyznawał tylko mówca, że ks. Dymitr poślubił Halszkę wbrew woli matki, lecz za własną jej zgodą i zezwoleniem stryja, który mu ją oddał.

Po wysłuchaniu obu mówców, król naradził się z senatorami względem wyroku. Większość senatorów była z Polski i ci wszyscy trzymali stronę Beaty, litewskich senatorów obecnych było niewielu, a tylko między nimi znajdowali się obrońcy Dymitra. Wyraził się więc i w tej jeszcze sprawie odwieczny, a wciąż jeszcze trwający antagonizm między Koroniarzami a Litwinami. Radzili niektórzy Litwini królowi, aby sprawę odłożył i nowy termin stawienia się obwinionych wyznaczył, ale przemogła większość, Dymitrowi nieprzychylna.

Zapadł dekret królewski, skazujący ks. Dymitra Sanguszkę na utratę czci i godła, za napad, pogwałcenie praw matczynych i porwanie szlachetnej panny. Na żądanie zawziętej Beaty, wydano natychmiast uniwersały i listy gończe, nakazujące urzędom i dozwalające każdemu wymienionego ks. Dymytra śledzić, schwytać i oddać w rę-

ce władzy, pod miecz katowski. Co się tyczyło sporu Beaty z ks. Ostrogskim, odesłano go do kompromisu, który istotnie przyszedł do skutku w r. 1541 i załatwił spory majątkowe stron obydwóch.

Ukrywający się książę Dymitr dowiedział się wkrótce o tym wyroku tak srogim i nielitościwym, zanadto nawet srogim, według naszego mniemania, gdyż nieszczęśliwy Sanguszko, jak to widać z tego, cośmy mówili poprzednio, był wprawdzie winien, ale nie tak ciężko i bezwzględnie, jak dowodzili i dowiedli przed królem jego nieprzyjaciele.

Musiał więc uchodzić z Polski, jeśli chciał ocalić głowę: tak też istotnie postanowił i wraz z Halszką, przebraną po męzku, w nielicznym orszaku, już przy końcu stycznia 1554 roku, ruszył na Szlązk, ażeby ztamtąd przedrzeć się do Czech.

Cała niemal szlachta polska była oburzona przeciwko Dymitrowi, ale najbardziej czyhali na niego przyjaciele Beaty. Wyśledzili też prędko drogę, którą udał się nieszczęśliwy zbieg z Halszką i puścili się w pogoń za uciekającym. Pierwszy podjął się tego zadania stary Marcin Zborowski, wojewoda kaliski, niegdyś przyjaciel i towarzysz wypraw hetmana Konstantego z Ostroga; przyrzekł on Beacie odebrać Halszkę z rąk Dymitra i podobno nie czynił tego bezinteresownie, gdyż miał nadzieję pozyskania ręki księżniczki dla swojego syna, imieniem także Marcina. Puścił się więc za zbiegami, w towarzystwie tegoż syna i licznego orszaku zbrojnych, ale gonił Sanguszkę tak zawzięcie, że ludzie jego pozostawali na drodze, a sami tylko obaj Zborowscy i dwoje sług, których konie były najlepsze, dopadli zbiegów w królestwie czeskiem, w miasteczku Łysej pod Jaromierzem, na głównym trakcie praskim, o kilka mil zaledwie od samej stolicy. Niezwłocznie z wielką wściekłością wpadli do gospody, gdzie stanął Dymitr z żoną. Sanguszko bronił się mężnie, ale w końcu, ciężko raniony, uległ. Zborowski zlanego krwią, kazał okuć w kajdany i położyć na prostym wozie, a Halszkę wziął pod straż swoją. Stało się to w samo święto Oczyszczenia Maryi Panny, dnia 2 lutego 1554 roku. Nazajutrz Zborowscy z jeńcem i odbitą księżną ruszyli w drogę powrotną, ale gdy przejeżdżali przez Jaromierz, zatrzymano tu ich z rozkazu władz, jako gwałtowników, naruszycieli granic i spokojnośc królestwa czeskiego.

Tegoż dnia raniony Dymitr Sanguszko ducha wyzionął: powiadali ludzie i podają pisarze czescy, że umarł nie od ran, lecz uduszony, gdyż kręgi szyjne zmarłego były połamane i głowa nie trzymała się na karku, jak to obecni widzieli.

Burmistrz Jaromierza kazał przystojnie ubrać zwłoki zamordowanego, które Czesi nazywali (jak głosi nagrobek) „wielkim hetmanem, z książąt litewskich, księciem włodzimierskim” i mieli za bardzo ważną i znakomitą w Polsce osobę.

Zborowscy jednak, pastwiąc się jeszcze nad zwłokami nieszczęśliwego, kazali wyrzucić je z trumny, z szat obedrzeć i położyć w stajni na kupie gnoju.

Dopiero 7 lutego wydano znowu ciało mieszczanom jaromierskim, którzy je pochowali przystojnie w kościele farnym, ze stosownem nabożeństwem, pomimo to, że Dymitr był wyznania wschodniego. Położono mu istniejący po dziś dzień kamień grobowy z herbem rodowym zmarłego (pogonią litewską) i stosownym napisem. Pogrzeb odbył się w obecności kilku dostojników czeskich, przybyłych z miast okolicznych z zastępem siły zbrojnej. Zborowskich wciąż nie puszczano, a tymczasem zaczęli ściągać do Jaromierza inni panowie polscy, ścigający również Dymitra, a przez Zborowskich wyprzedzeni.

W liczbie tych przyjaciół Beaty byli dwaj Kościeleccy, jej krewni — Janusz, wojewoda sieradzki i Jędrzej, wojewoda łęczycki, i dwaj panowie z Górki, Jędrzej i Łukasz. Panowie, jak zwykle jechali szumnie, dworno i zbrojno, tak, że spokojni mieszczanie czescy mieli dużo kłopotu z nawałem tych nieproszonych gości: skarżyli się np. że musieli odbywać uciążliwą straż w koło miasta, gdyż mury miejskie, po niedawnym pożarze, znajdowały się w stanie zupełnie zrujnowanym. Niebardzo też wiedziały władze czeskie, co począć z zatrzymanymi gwałcicielami: odgrażano się niby sądem i więzieniem, ale jakoś do tego nie przychodziło. Tak siedzieli sobie w Jarominie Zborowscy, a dla ich towarzystwa i reszta Polaków przez cały miesiąc. Nakoniec wdał się w tę sprawę sam król Zygmunt August, zażądawszy listownie od króla czeskiego Ferdynanda, aby Zborowskich z orszakiem kazał uwolnić. Stało się też to istotnie 28 lutego: komisarze i starostowie czescy odczytali Polakom z wielką pompą dekret swojego króla, puszczający ich wolno do Polski, z tym wszakże wielce komicznym warunkiem, ażeby zobowiązali się piśmiennie na wsze czasy, że ani oni ani ich potomkowie nigdy nie przedsięwezmą nic nieprzyjaznego przeciwko miastu Jeromierzowi (!)

Dodano jeszcze, że księżnę Halszkę, Zborowscy obowiązani są w ciągu dwóch miesięcy stawić przed królem polskim.

Prawdopodobnie Czesi byli radzi, że pozbyli się tym sposobem nieproszonych i kłopotliwych gości. Naruszenie granicy i gwałt, na obcej ziemi popełniony (gdyż dekreta i listy gończe króla polskiego w Czechach moc obowiązującą traciły), bezkarnie uszły Zborowskim, bo o sądzie nie mogło być mowy, skoro król polski sam wstawił się za nimi.

Spółczesne dokumenta i kroniki czeskie obfitują w liczne szczegóły o tym „najeździe Polaków na Jeromierz” i o zabójstwie księcia, którego niektóre źródła czeskie nazywają nawet „królewiczem”, a Marcina Zborowskiego podają bodaj czy nie za hana tatarskiego, gdyż mówią o służebnych jego „Tatarach”.

Co działo się z Halszką w ciągu tego miesiąca, niewiadomo z pewnością. Z warunku wszakże dekretu króla czeskiego, nakazującego stawienie jej przed Zygmuntem Augustem, możemy wnosić, że nieszczęśliwa młodociana wdowa siedziała również przez ten czas w Jaromierzu, a niedojście do skutku planów Zborowskich co do jej ponownego zaślubienia, oraz późniejsze wypadki pozwalają nam przypuszczać, że Halszkę z rąk ich odebrał, niewątpliwie upoważniony przez matkę i odwiózł ją do Beaty, wojewoda poznański Łukasz z Górki.

Księżna matka bawiła wtedy w Krakowie, na dworze królewskim; przyjęła córkę radośnie z upojeniem zupełnego zwycięztwa i tryumfu. Istotnie zwycięztwo jej było zupełne, ale miała opłacić je w przyszłości długoletniem cierpieniem i jej własne przygody miały być wkrótce niemniej smutne od losów córki...

Niedługo po tych wypadkach tragicznych, młoda i bogata Halszka nosiła czepiec wdowi — los przeznaczał jej dwóch jeszcze mężów i przytem miała posiadać ich jednocześnie. Oświadczył się bowiem o jej rękę ów wybawiciel jej z rąk Zborowskich — Łukasz z Górki, wojewoda kaliski a potem poznański. Halszka prawdopodobnie czuła wstręt do niego, ale Górka miał poparcie króla i Bony. Związek został zawarty w Krakowie, przy pomocy królowej Bony, która podobno sama podstępnie zdjęła Beacie z palca pierścień i posłała go Halszce na znak zezwolenia matki. Uległa i pozbawiona samodzielności córka pośpieszyła wziąć ślub z Górką, pobłogosławiony przez Czarnkowskiego, biskupa poznańskiego (1555 r.)

Beacie niepodobał się ten związek: despotyczna matka nie chciała go uznać, porwała córkę i uwiozła do Lwowa, gdzie schroniły się obie w klasztorze Dominikanek i przebywały tam całe cztery lata, korzystając z tego, że Bona opuściła wkrótce Polskę, a Górka był na wojnie w Inflantach; gdy jednak powrócił i Beata córki oddać mu nie chciała, Barzy, starosta lwowski, otrzymał od króla rozkaz odebrania Halszki przemocą i oddania jej małżonkowi. Awanturnicza Beata skłoniła zakonice do oporu i oto Lwowianie zostali świadkami dziwnego widowiska—oblężenia klasztoru mniszek przez wojsko królewskie. Klasztor był zaopatrzony w żywność, a mocny i warowny. Starosta nie chciał brać szturmem tej fortecy panien zakonnych i wolał użyć środka, używanego nieraz przy regularnem oblężeniu twierdz nieprzyjacielskich — odciął oblężonym przywóz wody. Środek był skuteczny i mniszki, wraz z Beatą i Halszką, poddać się musiały (1560 r.)

Okazało się jednak, że przebiegła księżna znowu inaczej rozporządziła ręką córki i zdołała ją już poślubić księciu Siemionowi Olelkowiczowi słuckiemu, który zdołał jakoś wśliznąć się do klasztoru, przebrany za żebraka. Poprzedniego ślubu Halszki z Górką, Beata nie uznawała, a słaba umysłem i duchem księżniczka, przeznaczona na igraszkę dziwacznych losów, uległa zapewne namowom, a może i przemocy matki. Ale król i Górka nie zwracali żadnej uwagi na te śluby nieprawne.

Książę Siemion umknął a ujęta w klasztorze Halszka, została oddaną wojewodzie, który wywiózł ją do Szamotuł. Burzliwą Beatę puszczono wolno, nie omieszkała też zaraz zaprotestować przeciwko „gwałtowi”, dokonanemu rzekomo na niej i córce przez starostę lwowskiego i Łukasza z Górki. Właściwie był to protest przeciwko rozkazom samego króla, z którego polecenia działali wojewoda i starosta; sprawa toczyła się na sejmie 1565 roku w Piotrkowie, ale spełzła na niczem.

Tymczasem zawzięta i samowolna Beata, ażeby zemścić się na narzuconym sobie zięciu, postanowiła pozbawić jego i Halszkę, dziedzictwa dóbr i kapitałów, tak swoich własnych, jak i tych majątków książąt Ostrogskich, które miała w zastawie lub w posiadaniu dziedzicznem z zapisu zmarłego małżonka. Umyśliła więc wnieść tę wszystkie bogactwa w inny dom, przez ponowne związki małżeńskie: jakoteż istotnie, w kwietniu 1564 roku, sześćdziesięcioletnia Beata oddała swą rękę Olbrachtowi Łaskiemu, który wkrótce został wojewodą sieradzkim.

Ostatni to był punkt zwrotny w awanturniczem życiu Beaty, które dobiegało już do swego smutnego końca. Do tego małżeństwa można, zaprawdę, zastosować przysłowie: „wart pałac Paca i Pac pałaca”, gdyż Olbracht Łaski był to jeden z najgłośniejszych w dziejach awanturników, mąż charakteru burzliwego i samowolny.

Takimi byli prawie wszyscy Łascy — rodzina potężna i wpływowa, która w wieku XVI wydała kilku ludzi niepospolitych i wkrótce już wygasła za rządów Zygmunta III. Członkowie tej rodziny, których imiona zapisane są w dziejach, aczkol-

wiek niezawsze chlubnie, celowali nietyle bogactwem, ile dziwną rzutkością i energią, zamiłowaniem przygód i samowolą, połączoną z egoizmem, pobudzającym ich do ustawicznego mieszania się w sprawy nietylko krajowe, ale nadto państw ościennych, częstokroć z lekceważeniem wszelkich praw Bozkich i ludzkich. Stały się więc głośnemi te imiona nietylko w Polsce, ale także w Węgrzech i Czechach, w Niemczech i Anglii, we Włoszech, w Turcyi i na Wołoszczyźnie.

Tak już najznakomitszy z tego rodu za panowania Zygmunta I, uczony prymas Jan Łaski, autor słynnego Statutu i wielu innych dzieł, nie poprzestając na tych zasługach i działalności, właściwej głowie kościoła polskiego, zaczął bawić się na własną rękę w politykę i popierając Jana Zapolyę, króla Węgier przeciwko spółzawodnikowi Ferdynandowi, zbierał wojska i prowadził konszachty z sułtanem tureckim, używając dochodów, a nawet sreber kościelnych na zaciągi wojska, mającego działać przeciwko domowi austryackiemu, a w przymierzu z Turkami.

Dowództwo nad temi zaciągami objął synowiec prymasa Hieronim Łaski, którego usposobienie awanturnicze ciągnęło do podobnych przygód, a zasób energii szukał jakiegoś pola do zużytkowania, które zarazem prowadziło do odznaczenia się, zadawalniając niepomierną ambicyą. Zapewne też dla dogodzenia tym skłonnościom ukochanego synowca, podjął stryj całą tę politykę, a chociaż sam uległ klątwie papiezkiej za nieprzystojny arcybiskupowi sojusz z Turkami przeciwko chrześcianom i wkrótce potem umarł (1530 r.), dzielny Hieronim ze swym hufcem dokazywał na Węgrzech, to kłócąc się, to godząc się z Janem Zapolyą, przechodząc nawet na stronę jego przeciwnika Ferdynanda, pod wpływem obrażonej dumy i osobistego interesu.

Za oddane sprawie Zapolyi posługi otrzymał dobra kesmarskie, ale gdy ponownie zdradził Jana, stronnicy tego ostatniego otruli go podobno 1549 r.

Drugi z braci Hieronima, a synowiec prymasa, Stanisław, szukał losu aż we Francyi i był towarzyszem wypraw króla Franciszka I. Wróciwszy do Polski, oddał się zawodowi dyplomatycznemu, posłował nieraz do dworów ościennych i pozostawił kilka dzieł poważnych. Trzeci, imieniem Jan, głośniejszy jeszcze od braci zagranicami Polski, był jednym z najgorętszych zwolenników protestantyzmu, organizował gminy i zbory ewangelickie w Niemczech, Danii, Holandyi i Anglii. Umarł także śmiercią tragiczną, otruty w Książu 1549 roku.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TRZY CHWILE.

I.

Witaj mi, witaj, chwilo wiosenna,
Gdy się roiła w duszy dziecięcej,
Przyszłość różowa, przyszłość promienna,
Gdym więcej kochał, gdym wierzył więcej.

I takiem marzył, i takiem roił,
Widziałem laury, sławę widziałem,
I gdym świat cały w róż barwy stroił,
Widziałem szczęście na świecie całym.

Jam żył nadzieją, jam był szczęśliwy,
Wolny jak motyl śród dzikiej kniei,
Wolny jak rumak śród dzikiej niwy —
Witaj mi, witaj chwilo nadziei!

II.

Witaj mi, witaj, o chwilo czynu,
Chwilo najświętsza i najpiękniejsza,
Kiedym chciał wzbić się nad poziom gminu,
Witaj, mi witaj z chwil najjaśniejsza.

Witaj mi, walko! gdy z przeciwieństwem,
Jam się potykał na każdym kroku,
Gdym walczył z nędzą, z niebezpieczeństwem,
Gdym szedł śród wrogów z odwagą w oku.

Ja żyłem czynem! Jam niewygody,
Jam zwalczał wrogów i namiętności,
Jam deptał ciernie, łamał przeszkody,
Witaj mi chwilo rzeczywistości.

III.

Witaj mi, witaj, chwilo spocznienia,
Kiedy po walce, kiedy po bitwie,
Nadchodzą słodkie czasy wytchnienia,
Gdy się ukoję w cichej modlitwie.

Już mię nie mamią mary błękitne,
Bom poznał prawdę życiowej matni,
Ani mię nęcą walki zaszczytne,
Bom zeszedł z pola ich nie ostatni.

Bez walki żyję, bez walki męzkiej,
Bez dziecinnego żyję marzenia:
Żyję wspomnieniem szczęścia i klęski,
Witaj mi, witaj — chwilo wspomnienia!

A. L.

CYGANIĄTKO

POWIEŚĆ

PRZEZ

MICHAŁA WOŁOWSKIEGO.

(Dalszy ciąg.)

Hrabia Zdzisław cierpliwie słuchał jej narzekań na losy męża a wsłuchując się w te opowieści, zbyt długo i zbyt często wpatrywał się w jej twarz, w jej oczy, aby urokowi piękna mógł się oprzéć; zresztą była to natura chłodna, z wychowania pozostał mu wpływ angielszczyzny, na spleen cierpiał i gotów był każdej chwili leczyć się tym środkiem przeciwko nudom, jaki mu się pod rękę nasuwał.

Pobyt jego w Rumszance, należał właśnie do kategoryi tych rozrywek i byłby mu się niezawodnie znudził, gdyby nie ta okoliczność, że w ustroniu tem, zaczęła go ku sobie wabić postać niewieścia Julii.

— Och! jakże się czuję bardzo nieszczęśliwą! — mówiła z enfazą Julia, przy poobiedniej sieście ze Zdzisławem, zaraz po rozmowie z Gustawem.

— Jakto? Pani czujesz się nieszczęśliwą! Pani, stworzonaś do szczęścia!

— Właśnie dlatego i nieszczęśliwą się czuję. Panie! pomyśl pan tylko! Zamknąć się w tem ciasnem kole, na zawsze, na życie całe, z człowiekiem który mnie nie rozumi, który nie pojmuje, że to suchot można dostać znajdując się w tej okolicy i widzieć się tak zawiedzioną w najwyższych swoich marzeniach, to okropne, to przerażające!

Zdzisław trzymał się więcej ziemi. Ten gwałtowny wybuch niezadowolnienia u Julii, przyjął dosyć chłodno i odparł:

— Cóż łatwiejszego jak wyjść z podobnego położenia.

— Ah! wskaż mi pan drogę, a życie całe wdzięczną ci będę.

Zdzisław spokojnie wziął za rękę Julię i głosem dość miękkim szeptać począł.

— Gdybyś pani wierzyć chciała...

— Ja chcę wierzyć, panie...

— A więc, proszę mi odpowiedzieć, co panią wiąże z tym domem i z tym człowiekiem?

— Ależ nic, nic na Boga!

— Więc czemuż pani tu siedzisz?... czemu nie pojedzież w świat używać życia.

— Używać życia! Ah!...

— Takiej kobiecie jak pani, zagrzebywać się niewolno, tu na wsi, w tym nudnym kącie.

Julcia westchnieniem odpowiedziała na ten frazes.

— Ah, tak, to męczy zawołała po chwili.

Hrabia Zdzisław tym razem nie atakował więcej. Ale z dniem każdym Julia czuła się coraz to nieszczęśliwszą, coraz to więcej narzekającą na swoje smutne położenie, a hrabia stawał się coraz to uprzejmym bardziej, nadskakującym, czułszym.

Nie trudno przewidzieć było rezultatów takiej przyjaźni, nie trudno skutków.

A Gustaw?

Wytężał wszystkie swe siły umysłowe, aby tylko zabezpieczyć sobie bezustanny napływ gotówki. Gdy wyczerpały się już zupełnie kredyt i dochody z majątku, rzucił się tam, gdzie zwykle zrozpaczeni, a namiętni, szukają ratunku i upojenia, rzucił się do gry.

Nie było jarmarku, aby na nim Gustaw Stoliński nie trzymał banku, nie było sąsiedztw w którym nie siadałby do stolika, z chęcią ograniacałego świata. Rzecz dziwna fatum dopisywało mu stale, jakby chciało dowieść prawdziwości przysłowia o miłości i szczęściu. Irytowało to poniekąd Julię, która z tych turniejów męża o grosz przy zielonym stoliku zdobywała wszystko co tylko zapragnąć mogła, znajdowała ona nawet pewną przyjemność w objawianiu żądań niepodobnych prawie do spełniania, zdawało się, że walczy z mężem, aby go doprowadzić do ostateczności, aby go zmusić do odpowiedzi: nie mam, nie starczy mi na to. Gustaw zaś ze swej strony z wiecznym uśmiechem na ustach i pocałunkami odpowiadał swoje „masz”. On nie widział nic w koło siebie nic prócz niej a w sercu nie doznawał innych wrażeń prócz miłości dla niej.

Inaczej życie szło w Mielnowie.

Ot do dworku jedzie wózek zaprzągnięty w parę myszatych gniadoszów, przy nim podskakuje wesoło szczekając Burek a na wózku siedzi Maciej i Ziemba.

Pierwszy poważny, drugi rozgadany jakiś, usta mu się prawie nie zamykają, a co chwila powtarza się w pytaniach tylko Cyganiątka się tyczących.

Ot i stanęli przed gankiem. Blada jeszcze po chorobie twarz Ziemby ubarwiła się rumieńcem, wyskoczył chyżo z bryczki.

Oglądał się naokoło, poznał różę co kwitła w ogrodzie, krzaczek każdy i topolę wysoką i ścieżynki wszystkie w ogrodzie a wszystko mu na pamięć przywodziło tę, dla której uciekł tak daleko za światy, i której dziś swój rozum zawdzięczał.

Maciej koniki popędził dalej, a Ziemba został sam ze wspomnieniami, tęsknym wzrokiem swoim wpatrując się w szpalery ogrodowe, z bijącem sercem oczekując czy mu się zjawisko jego na nowo nie ukaże.

I byłby tak długo stał w tej zadumie, długo wodził wzrokiem po otoczeniu, gdyby na raz z krzaków agrestu nie ozwało się:

— A kuku!

Ziemba drgnął na ten dźwięk przypominający kukanie zuzuli, rękę do czoła podniósł jakby chciał zebrać wszystkie wspomnienia swoje i szepnął:

— Zuzula kuka! w tym czasie, to dziwne!

— A kuku! — powtórzyło się po raz drugi, z akompaniamentem serdecznego śmiechu z którego Ziemba mógł poznać, że Zuzula nie miała skrzydełek i że kukała nie ładnym swoim dziobkiem ale gardziołkiem dziewczyny. Ziemba odwrócił oczy i głowę w stronę zkąd dolatywał go ten głos i to kukanie i zarumienił się po same uszy, gdy spostrzegł śliczną twarzyczkę wychylającą się z zieleni, która tym naśladowaniem głosu ptaka chciała na siebie jego uwagę zwrócić.

Osłupiał.

W tej pucołowatej twarzyczce, w tych oczach czarnych, dołkach wysuwających się wyraźnie na policzkach, poznał ją, Marynię, Cyganiątko swoje.

Nogi zadrżały pod nim, dziwny dreszcz przebiegł ciało, gdy ujrzał tę, której swój rozum zawdzięczał.

— To pani!... to... — zawołał prawie przelękły gdy na środek ścieżyny, którą dążył wyskoczyła w niebieskiej sukience kukająca w agreście ptaszyna.

— Ona, czy nie ona?—pytał sam siebie. Wszystko znajdował w tej twarzy, co widział kiedyś w Maryni a jednak szeptało mu coś do uchu, że się myli.

Tak, on się mylił. Ale powodów tej omyłki na razie odgadnąć nie był w stanie; usta otworzył i w zjawisko wpatrywać się począł.

— Przecież przyjechałeś pan do nas, oczekiwaliśmy cię tak wszyscy z niecierpliwością — szczebiotało szybko dziewczę biegnąc ku przybyłemu z otwartemi rękoma.

— Czekaliście na mnie państwo? — była odpowiedź zdumionego poety.

— Tak, czekaliśmy, my tu pana wszyscy kochamy.

— Ziemba drgnął usłyszawszy to słowo choć w liczbie mnogiej wypowiedziane i uśmiechnął się gorzko.

Dziewczę szczebiotało dalej:

— Żeśmy czekali i że kochamy pana to najlepszy dowód na mnie. Patrz pan tylko w najpiękniejszą moją wystroiłam się sukienkę, a to wszystko dla pana.

Ziemba znów rękę do czoła poniósł jakby niepotrzebne myśli z głowy chciał odegnać, a wszystko na okół i dziewczę samo i jego słowa, wydało mu się jakimś ustępem z bajek tysiąca i jednej nocy. Jeszcze do równowagi umysłu przyjść nie zdołał gdy nagle po za nim ozwał się głos drugi tak mu dobrze znajomy z przeszłości.

— A panie Janie, czyż godziło się uciekać tak od nas, abyśmy aż za tobą pogoń wysyłać byli zmuszeni?

Ziemba się odwrócił i jeszcze więcej zdawał się od przytomności odchodzić.

Przed nim stała druga Marynia, drugie Cyganiątko a i tym razem on się nie mylił, to była ona.

— Pani! — szepnął — w mózgu mi się coś plącze, czym po raz drugi zmysły utracił? Tego co widzę wytłomaczyć sobie nie umiem.

— A jednak to takie proste, panie Janie. Wytłomaczy ci to Wańdzia, moja siostra — wskazując na stojące obok dziewczę, powiedziała Marynia. — Z niecierpliwością oczekiwała twojego przybycia, od rana z za gołębnika obserwowała drogę od Krakowa, którą wraz z Maciejem przybyć mieliście. Nie mogłam jej w pokoju utrzymać, a gdy zaturkotało przed domem sama wybiegła na wasze spotkanie.

— Och nie mów Marynieczko, wszakże sama wysłałaś mię tu na ścieżkę, abym pierwsza uścisnęła ręce naszego gościa — a mówiła to z taką figlarną minką, rumieńce tak w porę przyszły na pomoc twarzyczce, a ślipki wesoło zamigotały, że Ziemba urokowi tego zjawiska oprzéć się nie był zdolny. Spoglądał kolejno na Marynię i Wandzię i milczał, ale twarz jego mieniła się bezustannie i Marynia niedługo potrzebowała się silić na odgadnięcie wrażeń, których doznawało jego serce i rozum.

Wzrok zamglony wyjaśnił mu się, łzy poczęły spadać z rzęsów i jakby pod wpływem jakiejś galwanicznej siły, kolana zgięły się pod nim, ukląkł na ziemi, rąbek sukni Cyganiątka do rąk schwycił i do ust przycisnął szepcząc:

— Już umrzéć mogę, bom ujrzał tych co kochać umieją. — I byłby szlochał długo poczciwy Ziemba i długo całował suknię Cyganiątka, gdyby nagle i żywo nie schwyciła go za rękę Wańdzia i nie zawołała:

— I ja mam kurki czubate i krówkę pstrokatą, i ja umiem z niemi rozmawiać i one mnie rozumieją. Chodź pan, pokażę panu to wszystko. A co mam książek, co poezyi, jak kocham to wszystko, jak za tem wszystkiem przepadam, to nawet panu powiedziéć nie umiem. Chodź pan, chodź sam to wszystko zobaczysz.

I choć odwracał oczy swoje za Cyganiątkiem Ziemba za Wańdzią jednak poszedł.

A Wańdzia była to sprytna dziewczyna, zaraz na wstępie wytłomaczyła najdokumentniej Ziembie, gdakanie czubatej kurki pod której skrzydła zbiegały się wszystkie jej kurczęta; potem i pstrokatej krówce się coś dostało, a gdy jeszcze przy jej nogach i burek się znalazł, gdy zamienili z sobą spojrzenia, gdy psisko zaczęło się łasić i lizać jej nogi a Wańdzia targać go za uszy i czynić wymówki, za długą nieobecność w domu, Ziemba tak już przylgnął do tego sobowtóra Maryni, że oderwać od niego oczów nie był w stanie.

Od dnia tego, pod wpływem Wandzi i Cyganiątka, Ziemba coraz jaśniej na świat zapatrywać się począł. Coraz jaśniej było mu w duszy a więc i coraz jaśniej w umyśle. I stała się rzecz bardzo naturalna.

W sercu poety Wańdzia zajęła miejsce Cyganiątka, a że Cyganiątko umiało panować nad wszystkiemi umysłami, że umiało śledzić i patrzéć pilnie za wszystkiem, nie trudno więc było przewidziéć rezultat tej nowej oryginalnej kuracyi waryata, prowadzonej z całą systematycznością i rozumem posiadającej serce kobiety.

I dzieci tych dwoje, Janek i Wandzia, nie wiedząc może i sami o tem, pokochało się bardzo. Pokochało gorąco, serdecznie; słowa wyznania miłości podszepnął im kiedyś Słowacki:

Czytali „w Szwajcaryi”.

Obcowanie z Wańdzią, książki podsuwane do czytania przez Cyganiątko Ziembie, nadawały kierunek zdrowszy myślom poety, aż w końcu doprowadziły je do drogi prostej. Ziemba już nie majaczył.

Marzył i myślał tylko o Wańdzi a że jak powiedziałem czytali Słowackiego „w Szwajcaryi”, razu pewnego więc bezwiednie ręce ich spotkały się razem, spojrzeli sobie blisko w oczy, ale tak blizko, że na chwilę ociemnieli oboje i zarumienili po uszy, bo w tej chwili z surowem przed niemi obliczem stanęło Cyganiątko i z zapytaniem na ustach:

— A to co znaczy?

— Kochamy się — wybiegło ledwie dosłyszalnym szeptem z ust obojga.

— Kochacie się? — powtórzyła Marynia, jakby ze zdziwieniem choć można powiedziéć, że rezultat ten od dawien dawna przygotowała.

Wanda zawisnęła na szyi Cyganiątka, obejmując ją obydwoma rękami a Ziemba pochmurnie zapytał:

— Czy po raz drugi mam iść w świat, szukać śmierci?...

— Ależ zostań, zostań, kochany panie Janie, tu szczęściu waszemu nic nie przeszkadza, zwłaszcza kiedy się kochacie. Mogłabym jeszcze jako praktyczniejsza od was zapytać, z czego oboje żyć będziecie? Ale i tu szczęście przyszło wam na pomoc. Masz panie Janie już i nazwisko i majątek. Maciej przywiózł z sobą zapis całego majątku, uczynionego przez twojego ojca.

— Mojego ojca! — krzyknął Ziemba — gdzież on jest?

— Tam w górze — zawołał jakiś głos poważnie za poetą.

Był to głos Macieja.

— Macieju, powiedz mi co o moim ojcu!—szepnął Ziemba.

— Ojciec Eustachy już umarł!—odparł Maciej równie cicho.

Ziemba ku dołowi oczy spuścił, zamyślił się a chmury osiadły na jego czole. Rozegnało je jednak spojrzenie Wańdzi.

Ziemba schylił się do ręki Maryni i całując ją gorąco szepnął:

— Tobie winienem, rozum i szczęście. Czemże zapłacę za te dobrodziejstwa w przyszłości?

— Uczciwem życiem — była odpowiedź.

* * *

(Dokończenie nastąpi.)

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

PRZEZ

SEWERYNĘ DUCHIŃSKĄ.

Rip wodewil z podania amerykańskiego.—*Tajemnice Doktora Grimskawe,* powieść Hawthorna. — *Jej królewska mość kobieta,* studya Oktawiusza Uzanne. *Taczka gałganiarza,* przez p. Polian. — Podróż do Hiszpanii posła marokańskiego, w końcu XVII wieku.

Teatra paryzkie zapowiedziały kilka nowych dramatów i komedyi na tę zimę. Do tych należy

dramat pięcioaktowy wierszem, nowego akademika, Franciszka Coppeé, pod tytułem „Jakobiści”, rzecz wzięta z historyi ostatnich Sztuartów. Teatr francuzki wkrótce przedstawi nową komedyą Aleksandra Dumasa pod tytułem „Dyonizya”. Na scenie Porte S-t Martin, ukaże się nowa sztuka Wiktoryna Sardou p. t. „Teodora”, osnuta na dziejach Byzantyńskich z czasów Justyniana. Początek roku wróży nam dosyć bogate plony. Nim ich się doczekamy, wspomnijmy dziś pełen życia, humorystyczny wodewil, a raczej operę komiczną p. t. „Rip”. Sztuka ta zyskała już w Paryżu równą popularność, jaką parę lat temu zyskały „Dzwony kornewilskie”, utwór tegoż samego kompozytora, pana Planquette. Nie wątpimy, że „Rip” przebiegnie wkrótce całą Europę, a więc ukaże się i na scenie warszawskiej.

Nie ma wątpliwości, że muzyka wesoła, pełna życia, wybornie zastosowana do przedmiotu, najważniejszą gra rolę w komedyo-operze, ale przyznać musimy, że do wielkiego powodzenia „Ripa”, przyczyniło się niemało nadzwyczaj udatne libreto, osnute na amerykańskiem podaniu.

Tradycya ta nie wylęgła się w dziewiczych lasach Stanów Zjednoczonych, zanieśli ją tam pierwsi koloniści angielscy, znana bowiem w ludowych utworach całej Europy, zacząwszy od Sag skandynawskich aż do poetycznych baśni ludu naszego. Całą oryginalność tworzą waryanty, zastosowane do miejsca i czasu. Owóż „Rip”, ma charakter często amerykański. Wachington Irwing, pełen fantastycznej wyobraźni, spopularyzował go nad Hudsonem. Oto treść podania w kilku słowach:

Dnia jednego, w roku 1675, podczas kiedy Jerzy III-ci, panował spokojnie tak w Anglii jak w swych amerykańskich koloniach, kiedy Ludwik XIV król Francyi i Nawary, przezwany *królem słońcem*, błyszczał w Wersalu jak Assyryjski Sardanopol, kapitan holenderskiego statku Hudson, płynąc pod wodę rzeką, która dziś nosi jego imię, opuszczony został przez zbuntowaną załogę okrętową; mała tylko garstka wiernych majtków, przetrwała z nim do końca, gotowa podzielać jego losy. Pozbawiony żywności, wylądował u stóp góry Cattskill, twarde mrozy zaskoczyły tu podróżnika. Wkrótce umarł z zimna i głodu, towarzysze pomarli także, ale duchy ich krążyły po górach, a kiedy grzmot rozległ się w pośród skał, lud drżał przejęty trwogą. „Czy słyszycie? szeptali jedni do drugich, kapitan Hudson gra w piłkę z towarzyszami, uciekajmy ztąd: biada temu, który im popadł w oczy, zasnąłby twardo na całe lat dwadzieścia.

Z tej legendy, autorowie francuzcy Maillac i Gilles, wysnuli zręcznie wątek poemaciku.

Młody Rip wesoło rozpoczął życie. Żartuje ze wszystkiego, wolny jak ptak śpiewa wciąż wesołą piosenkę, gotów do czarki, chętnie biesiaduje z towarzyszami; łowy po lasach ulubioną jego zabawą, kocha szalenie śliczną Nelly, którą pojął niedawno za żonę. I Nelly kocha go całem sercem, dla niego to odrzuciła hołdy burmistrza Dorrynga, pierwszego bogacza w Kantonie. Obrażony Dorryng poprzysiągł Ripowi nieprzebłaganą zemstę, a ponieważ jest jego wierzycielem, grozi mu więzieniem za długi. Rip żartuje sobie z pogróżek, dobywa z kieszeni garść złota, rzuca je na stół przed burmistrzem. Zmieszał się zrazu Dorring, ale po chwili uśmiech szatański przebiega mu po ustach: spostrzegł na złocie stempel zagraniczny.

Rzecz odbywa się w roku 1775, w sto lat po przygodzie kapitana Hudsona, w tym właśnie roku, kiedy opozycya kolonistów amerykańskich, przeciw rządowi angielskiemu, zamieniła się w jawne powstanie. Dorring, gorliwy stronnik króla Jerzego, rozkazuje pochwycić Ripa, oskarża go o stosunki z cudzoziemcami, nim to nastąpiło, Rip ucieka, chroni się w góry.

W drugim akcie, widzimy Ripa w ciemnym wąwozie, gdzie zakopany skarb kapitana Hadsona. Dotąd odkrył on tylko małą jego cząstkę, teraz postanawia wydobyć go w całości. W chwili gdy przyłożył motykę do ziemi, staje przed nim widmo kapitana z orszakiem druhów. Niebaczny Rip spełnia do dna podaną mu czaszę: zmorzony snem upada na ziemię, spać będzie lat dwadzieścia.

Kiedy się obudził, w r. 1795, Ameryka nową całkiem przybrała postać. Od trzynastu lat, Stany Zjednoczone tworzą niepodległą rzeczpospolitę. Niskie krzaki wśród których zasnął Rip, wyrosły w wielkie drzewa; mała mieścina Cattskill, stała się wielkiem miastem: Gdzie rozrzucone były nizkie dworki, podnoszą dumnie czoła pięciopiętrowe gmachy. Lud, który w pierwszym akcie śpiewał chórem: niech żyje Jerzy III-ci, wykrzykuje dziś na tęż samą nutę, z równym jak podówczas zapałem: „Niech żyje nasz wielki Washington!”

Rip po przebudzeniu, czuje reumatyczny ból w kościach: widzi w tem skutek nocy przespanej pod gołem niebem. Chcę podjąć strzelbę, znajduje tylko lufę zerdzewiałą, kolba rozsypała się na miałkie próchno. Zstępuje z góry znaną steczkę: kieruje się ku Cattskill.

Co krok, to nowy podziw. Wchodzi do gospody, prosi o szklankę piwa. Odganiają go jak żebraka, bo nie ma szeląga przy duszy.

— Ależ jam Rip! — woła — czyż mnie nie poznajecie?

— Nie szydz z nas — odpowiadają na to, masz widocznie poplątane zmysły. Rip umarł lat temu dwadzieścia.

Coraz to bardziej zdumiony, Rip w braku piwa, pragnie orzeźwić się chociażby wodą. Staje nad strumieniem, pochyla głowę, cóż widzi? odbitą w wodzie własną postać. Cofa się przerażony. On, co to? ów dziarski Rip, dziś z czołem w brózdy pooranem, z białą do pasa brodą. Nie daje wiary własnem oczom.

Powoli przyczołgał się do swego niegdyś domu. Sprzedano go na spłacenie Dorrynga. Nagle z piersi jego wybiega radosny okrzyk, spostrzega swoją Nelly, żonę ukochaną. A jednak to nie Nelly.

Biedna żona umarła przed laty dziesięciu. To tylko wierny jej obraz, to Lowna córka Ripa, a ten krzepki młodzian, stojący przy niej, to Adryan, syn burmistrza, szczęśliwy jej małżonek. W pierwszym akcie widzieliśmy ich drobnemi dziećmi jeszcze.

Rip stracił lat dwadzieścia, w pogoni za złudnym skarbem, którego nie osiągnął, ale znajduje w końcu szczęście przy domowem ognisku. Dorring tknięty wyrzutem, wraca mu wydarty majątek.

Oto cała treść poemaciku. Są w nim sceny prawdziwie dramatyczne; kompozytor umiał oddać je z niepospolitą werwą.

Wesołe aryetki przeszły już w usta ludu, słychać je wieczorem po ulicach paryzkich. Obok nich są inne bardzo rzewne.

Podobała się z tych szczególniej, arya z pierwszego aktu na nutę poloneza, i oryginalny chór duchów, nad uśpionym Ripem, w końcu drugiego aktu.

Skoro zawadziliśmy o drugą półkulę świata, powiedzmy tu słówko, o nadzwyczaj oryginalnej powieści, znanego poety Nathaniela Hawthorne, wydanej świeżo w Londynie, pod tytułem: „Tajemnica Doktora Grimshawe”. Autor pracował nad nią przez lat siedm, nagromadził mnóstwo notat, lecz nie zdołał ułożyć ich w organiczną całość, gdy śmierć wytrąciła mu pióro z ręki. „Tajemnica Doktora”, została więc tajemnicą dla czytelników: ostatnie słowo zagadki wniósł Hawthorne do grobu. Mimo to książka zwróciła powszechną uwagę, tak oryginalnością pomysłu jak głęboką znajomością serc ludzkich i wielką siłą w zarysowaniu charakterów.

Hawthorne różnił się zupełnie od dzisiejszych powieściopisarzy. O ile ci szukają zewnętrznych pobudek, chwytając życie społeczeństwa na gorącym uczynku, przyglądając się przez mikroskop najdrobniejszym szczegółom, o tyle amerykański pisarz odgradzał się od ludzi, a badał wyłącznie każdą myśl swoją, każde drgnienie własnego serca; stawiał się wyobraźnią we wszelkich możliwych sytuacyach, zapytując siebie, jakby postąpił w danej okoliczności. Przekonany głęboko, że wszyscy ludzie mają wspólne instynkta i popędy, czuł, że osądziwszy doskonale siebie samego, można sąd ten zastosować do drugich. W tym to celu, gdy rozpoczął zawód pisarski, zamknął się na klucz i w dobrowolnem więzieniu przeżył lat dwanaście. Przez cały ten czas, nie widział żywej duszy. Codzienny pokarm stawiano mu za drzwiami.

W takiem oderwaniu od świata, obrazowa strona w powieściach Hawthorna, małą bardzo odgrywa rolę, wydobycie psychicznej prawdy jedynym jego celem.

Tę prawdę obwija on tak grubą zasłoną symbolistyki, przedstawia ją w tak fantastycznych barwach, że potrzeba przenikliwego wzroku, by ją zrazu dopatrzyć.

W historyi doktora Grimshawe, główna myśl tem trudniejsza do zbadania, że koniec powieści pozostał zagadkowym.

Ów doktor przeżył długie lata, zagrzebany myślą w stęchłym pyle przeszłości. Mając ciągle przed oczyma idee, uczucia i przedmioty, które przeżyły swój czas, wybiegł mimowoli po za obręb rzeczywistego życia i stał się istotą dziwaczną, niepodobną do innych ludzi. Hawthorne określa go w taki sposób: „Miał w mózgu pajęczynę. Przez tę zasłonę, pogląda on na świat, gdziekolwiek spojrzy widzi tylko rozpostarte sieci pajęcze, symbole wspomnień i tradycyi, któremi się obwarował. Doktor Grimshawe w fantastycznej wyobraźni, przeistoczył ziemię w wielki warsztat, gdzieby miliony pająków, otoczone troskliwą opieką, mogły snuć z całą swobodą nici swoje i omotać niemi całe społeczeństwo”.

Zaczyna więc od własnego pokoju. Ze wszystkich stron kuli ziemskiej, sprowadza pająki, rozmaitych rozmiarów i odmian. Żyje wśród robotników swoich, głosi przed ludźmi, że piszę historyą naturalną pająków, opowiada chorym, że dobywa z pajęczyny cudowny eliksir, niechybny środek na choroby piersiowe. Nie daje przecież tego lekarstwa pacyentom.

Kiedy ktoś zapyta go o wielkie dzieło przyrodnicze, wtedy czyta ciekawym jakieś galimatia, nasadzone łaciną i greczyzną, o sposobie chodowania pająków na wielką skalę, poczem parska śmiechem na widok zdumionych słuchaczy.

Autor wprowadza nas do pokoju doktora: dziwny ukazuje się tu obraz.

W żadnej z kryjówek świata, mówi on, nie ujrzysz tylu nagromadzonych pająków. Jedne zwieszają się od sufitu, drugie włóczą się po stołach i sprzętach, pełno ich w każdym kącie. Gdziekolwiek mogą się uczepić, wszędzie snują tkaninę swoją, wzdłuż okien, na drzwiach, nawet w głębi komina. Nie stąpisz kroku, bez zerwania nici tajemnej. Przystępują do ciebie poufale, łażą po ręku, wspinają się po grzbiecie twoim, czujesz jak ci wnikają w głąb mózgu, snują tam pajęczynę. Cała atmosfera na wskroś przesiąkła niemi. Czem one żyją? to tajemnica doktora, bo wszystkie muchy na dziesięć mil w około nie mogłyby wystarczyć im na pastwę. Zkąd przychodzą? to druga zagadka. Niektórzy jednak mówią, że doktor utrzymuje stosunki z kapitanami okrętów i za pośrednictwem ich, sprowadza nieznane okazy z Indyi wschodnich i z Afryki podzwrotnikowej.

Doktor pysznił się szczególniej potwornym pająkiem, zawieszonym zwykle nad krzesłem, na którem siadał. Pająk ten miał łapki tak szeroko rozpostarte, że mógł pokryć niemi cały talerz. Kadłub wielki jak gęsie jaje, pokreślony był w różnobarwne arabeski. W dni wietrzne, kołysał się na grubej nici, jakby wahadło zegaru, nad głową pana swego. Lud głosił, że to dyabeł, któremu doktor zaprzedał własną duszę.

Hawthorne długo przebywał w Anglii, gdzie pełnił obowiązki konsula Stanów Zjednoczonych. Dumny z republikańskich instytucyi nowego świata, z pogardliwem uprzedzeniem patrzył na Anglików, nie mógł zrozumieć ich przywiązania do starodawnych instytucyi, jakich się z poszanowaniem trzymają. Łatwo też odgadnąć, że malując ów pokój doktora, pełen pająków, miał na myśli, społeczeństwo angielskie, że w tej pajęczynie, nagromadzonej w domu i nigdy nie wymiatanej, chciał pokazać instytucye angielskie, tak dziwaczne w oczach amerykańskiego Jankesa.

(*Dokończenie nastąpi.*)

Z pod naszej strzechy.

Bawimy się...

Dlaczegóż nie mielibyśmy się bawić? Toż przecię karnawał i w dodatku bardzo będzie krótki, trzeba więc korzystać z czasu, rok nowy zacząć wesoło, zabawą. Rozrywka po pracy nie jest rzeczą zdrożną...

Nie wartoby się może o zabawach i karnawale rozpisywać, gdyby nie pewne uwagi, które koniecznie pod pióro się nasuwają. Przypomnijmy sobie zabawy karnawałowe z lat ostatnich i przypatrzmy się dzisiejszym. Różnica ogromna. Już z początków wnosić wolno, że zabaw w ogóle będzie w tym roku mniej aniżeli dawniej bywało, a jeszcze i te które są, jakże niepodobne do dawniejszych!

Bieda, czy też co innego nauczyło nas oszczędności. Dawniej stroje pań wkraczały nierzadko w granice zbytku, dziś chyba niepodobna naszych pań o coś podobnego oskarżać. Przekonały się, że w sukni wełnianej można się równie dobrze bawić, jak w jedwabnej ustrojonej w drogie koronki i kwiaty. Wieczorki tak zwane wełniane coraz większe mają powodzenie.

Często, gęsto nie sam taniec tylko stanowi zabawę. Deklamacya, śpiew, muzyka, równie miłą są rozrywką, a chronią od zbytecznego zmęczenia, nie narażają niczyjego zdrowia na szwank. Zwolennicy tańca nic na tem nie tracą.

Wieczorki takie mają jeszcze jedną dobrą stronę. Dają więcej sposobności do rozmawiania. To ważne.

Spostrzegliśmy już niejednokrotnie, że dar rozmawiania zatraca się powoli, ale ciągle. Mężczyźni stronią od kobiet, gromadzą się w osobnych pokojach, zjawiają się dopiero, gdy zagrają do tańca. Dziwnie taka zabawa wygląda. A jednak jakże często się to zdarza.

Chyba się nie omylimy sądząc, że gdy panie mniej będą myślały o wytworności sukni, strojniej będą wyglądały piękne główki i łacniej zwabią każdego do rozmowy. A czyż może być co przyjemniejszego nad serdeczną rozmowę w salonie, z paniami?!

Żebyż tylko jeszcze oderwać cząstkę mężczyzn od zielonych stolików. Może to być rozrywką, lecz nie powinno nią być dla wszystkich. Życie towarzyskie i zabawy zyskałyby na tem bardzo.

To co się dzieje w Warszawie, powtarza się i na prowincyi.

W jednem z miast gubernialnych był bal, na którym do tańca stanęło dwadzieścia par — nie więcej. Dawniej bywało inaczej, a jednak nikt obecnie nie użalał się na brak zabawy. Przeciwnie, bawiono się doskonale, pomimo, iż wszystkie panie i panny były w sukniach wcale nie wykwintnych, przeważnie wełnianych. Mówiono nam, że wiele pań pozostało w domu, nie chcąc wydawać pieniędzy na stroje — w zwykłych wieczorowych sukniach na balu nie chciały się ukazać!

I cóż zyskały?

Minęła ich wesoła zabawa, czego pewno żałują. Ale fakt taki może wyjść na dobre. Owe nieobecne, przekonawszy się, iż suknia wełniana nic zabawie nie przeszkadza, przyjdą na drugi raz, nie martwiąc się bynajmniej brakiem kosztownych strojów. Przeciwnie, gdyby pierwszym razem pokazały się były w strojach nad stan i możność, dałyby tylko zły przykład innym.

Zły przykład w tym wypadku bardzo jest zaraźliwy, fałszywa ambicya najłatwiej popycha do zbytku... a potem do ruiny.

Mówiąc już o kobietach i balach nie możemy pominąć głosów prasy, która uczciwie ich sprawę pojmuje i szczerze do oszczędności zachęca.

W ogóle prasa nasza poważna w sprawie t. z. kobiecej z godnością zawsze się odzywa.

Ale czy wszyscy tak czynią?

Niestety, nie. Jest pewna cząstka, która dziwnych pod tym względem trzyma się zasad, a może w gruncie żadnych zasad nie ma. Cząstkę ową stanowią nasze pisma humorystyczne.

Dość przejrzeć kilka okazów naszej humorystycznej prasy, ażeby się schwycić za głowę i zawołać: gwałtu, a toż koniec świata! Nie ma numeru, w którymby nie drwiono z oszczędności w strojach, jak gdyby w nią nie można było wierzyć: co gorsza, pisma te ośmieszają najszlachetniejsze uczucia, miłość, wierność małżeńską i sam stan małżeński, przedstawiając go, jako zgubę człowieka — mężczyzny.

Nie wiemy kto są ci autorowie rozmaitych niby dowcipnych wierszyków, zdań i aforyzmów, nie chcemy wglądać w ich życie i charaktery, ale to pewna, że uczciwemu człowiekowi trudno się na to zgodzić co oni wypisują. I dokąd dąża, pytamy. Co dla nich jest świętem, co uszanują?

Nie zwracalibyśmy uwagi na tę sprawę, gdyby ona nie była prowadzoną z pewną systematycznością, gdyby te wybryki rozkiełznanego humoru nie przechodziły pewnych granic. Dla nas przeładowanie pism humorystycznych gadaniną o niewierności małżeńskiej, o zdradach i nizkich kłamstwach, jest wprost wstrętnem.

A dodajmy do tego ilustracye niektórych — dobrze, że jeszcze nie wszystkich — pism humorystycznych. Wszystko tam obliczone na gruby efekt, jakby pisma te były wydawane wyłącznie tylko dla rozpustników.

To smutne.

Pisma niehumorystyczne t. z. brukowe, często gęsto szpikują swe szpalty dowcipami podejrzanej moralności, a już co do wiadomostek z miasta i zagranicy, to najchętniej polują na takie, które mogą targnąć nerwy, rozbudzić przytępioną, zepsutą wyobraźnię pewnej kategoryi ludzi... Alež na miłość Bozką, ludzie ci stanowią małą cząstkę społeczeństwa czytającego, dlaczegóż więc ich gustom dogadzać, dlaczego z ich upodobaniem się liczyć? Czemuż raczej nie uwzględniać wyłącznie potrzeb i wymagań ludzi uczciwych?

Moralność traci tylko na schlebianiu nizkim instynktom, szukającym rozrywki w skandalach i ich opisach. Czyż to tak trudno zrozumiéć?

Przypomina nam się tutaj korespondencya z Waszyngtonu, zamieszczona w 52-im numerze „Kraju" z roku ubiegłego. Autor powiada, iż polki zamieszkałe w Ameryce, nakłaniają swoje krewne, przyjaciółki i znajome do przesiedlenia się, zachwalając życie amerykańskie. Co ich do tego skłania? Grzeczność towarzyska, która ich tam na każdym kroku spotyka, a do której w Europie nie bardzo mogły nawyknąć.

„Wcale to piękny zwyczaj, nałóg, czy prawo — pisze ów korespondent — co elegantom lub rozkosznisiom żadnego stanu i pozycyi nie pozwala ani toleruje zaglądać pod kapelusz, lub dwuznacznem słowem zarumienić twarzy, przechadzającej się lub idącej samotnie dziewczyny lub kobiety, jakiegokolwiekbądź wieku, stanu lub ubioru. Ta pewność protekcyi, czy w dyliżansie, na kolei, czy na parostatku, nietylko ze strony od kogo ona należy, lecz nawet jaką bez wezwania da majtek, ulicznik, lub pierwszy lepszy wyrobnik, który spostrzeże uchybienie, lub ubliżenie natręta, lub zarozumialca — z pewnością przyczynia się niemało do wyrobienia w niewieście uczuć, przy których Europa wygląda brudno i grubiańsko. Nie jest gentlemanem, kto w jakikolwiek sposób odmawia kobiecie pierwszeństwa, będzie li to urzędnik, żołnierz, kupiec lub prezydent rzeczypospolitej."

I cóżby na taki obyczaj amerykański powiedzieli nasi donżuani? Pewnoby się im nie podobał. Ale nie o nich nam idzie, nie ich najpierw wezwać trzeba do poprawy, lecz tych, którzy wszystkim przodować powinni.

Niechże prasa uszanuje kobietę — naturalnie mamy zawsze na myśli tych, którzy tego dotąd nie czynią — a tem samem nauczy innych poszanowania niewiastom należnego. Nie potrzeba prawić paniom komplementów, bez tego obejdą się, lecz mówić o nich z godnością, jak na to zasługują;

skoro nie gorsze są od nas. A przedewszystkiem czas dać pokój drwinom i śmieszkom z tego wszystkiego, co na poważanie zasługuje. Uczucia rodzinne pierwsze tu zajmują miejsce.

Obyśmy nie naprózno mówili.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Cet czy licho? — powieść historyczna z końca XVII wieku, przez *J. I. Kraszewskiego*. Warszawa, nakład M. Orgelbranda 1884 r.

Znajomość strony obyczajowej społeczeństwa naszego z dwóch wieków ubiegłych, należy do specyalności Kraszewskiego. Wcielił on się w to życie, jakby na nie patrzał własnemi oczyma, a ludzie wychodzą z pod jego pióra jak żywi. Jako pisarz historyczny, kładzie szczególny nacisk na motory polityczne w danej epoce, wnika w nie głęboko, gromadzi fakta i na ich podstawie wyprowadza wnioski.

Te to zalety ma „Cet czy licho?”

Malowidło obyczajowe doskonałe, znajomość charakterów wielka, tłomaczenie akcyi politycznej obszerne i szczegółowe.

Rzecz dzieje się w czasie wyprawy pod Wiedeń, więc naturalnie faktowi temu poświęca autor wiele uwagi. Powiedzielibyśmy nawet, że trochę za wiele. Opisywanie szczegółów wyprawy, bitew, pochodu wojsk, osobliwie po odsieczy wiedeńskiej, zbyt wiele w powieści zajmuje miejsca.

Sama zaś fabuła dość jest uboga.

Dwóch młodych ludzi: Korsak i Wyszogórski, blizcy krewni i przyjaciele, poróżniło się o pannę. Korsak kochał się w niej i ona mu sprzyjała. Wyszogórski był powiernikiem kuzyna i często pośredniczył pomiędzy nim a piękną kasztelanką, aż przyszło do tego, że i sam się zakochał. Ztąd zawiść pomiędzy oboma i omało nie przyszło do rozlewu krwi, tylko, że sam król wdał się w tę sprawę i tak ją rozstrzygnął: Bić się nie pozwolił, lecz kazał ciągnąć los. Kto wyciągnie licho, ten ma się starać zginąć na wojnie. Tym nieszczęśliwym był Wyszogórski.

Idą więc na wojnę i obaj dzielnie się biją, ale król obu powstrzymuje od szalonego kroku, żadnemu zginąć nie pozwolił. A kiedy do domu powrócili, chcieli koniecznie krwią zmazać urazę. Już się nawet gotowali do pojedynku, lecz przeszkodziła mu matka Wyszogórskiego. Udało jej się pogodzić powaśnionych przyjaciół i braci ciotecznych i odtąd dawna zgoda powróciła.

Wyszogórski znalazł poczciwą dziewczynę i ożenił się z nią, gruntując sobie spokojne prawdziwe szczęście.

Kasztelanka Anna, wyszła zamąż za swego kuzyna, a jednak nie mogła z serca wydrzéć pamięci Korsaka. Dlaczego więc wybrała innego? Na to nie mamy odpowiedzi w powieści i błąd w tem wielki.

Korsak nie wstąpił w związek małżeński, bo dlań jedna tylko była kobieta kochana, Anna. A jednak, kiedy dawna bohdanka owdowiała, i spotkawszy się z Korsakiem dość wyraźnie dała mu poznać, iż teraz gotowa jest oddać mu rękę, wysłuchał jej zimno, udał, że nie rozumie znaczenia tych słów. Bo i jakżeż mógł podać dłoń tej, do której miał żal ciężki, bo mu życie całe zmarnowała.

Treść to trochę za uboga na dwutomową powieść, którą wszakże z przyjemnością się czyta, bo pisana z werwą i tą płynnością, którą Kraszewski zawsze czytelnika pociąga.

Obok postaci głównych spotykamy całą galeryą drugorzędnych, wybornie naszkicowanych, pełnych życia i humoru. Z kobiet jedna Wyszogórska narysowana jest oryginalnie i plastycznie.

WIADOMOŚCI Z KRAJU.

*** W ukończonej obecnie katedrze kolońskiej znajduje się grobowiec królowej polskiej Ryxy, córki Ezona palatyna reńskiego i Matyldy córki cesarza Ottona II, która jak mówi Bielski „rządziła Rzecząpospolitą z wielką szkodą a obciążeniem ludzkiem, bo choć na pozór nabożna była łakomą i przeto rozmaite pobory nakładała na poddane, tak swoje jak i szlacheckie i duchowne. Polaki na stronę odkładała a Niemce do rady sadzała.” Królowa ta obdarowawszy katedrę w kolonii Koburgiem i Salefeldem, z pominięciem w zapisie, wbrew prawu, Kazimierza I-go, pochowana została w grobach kościoła P. Maryi, po zburzeniu którego zwłoki jej przeniesiono do katedry. Jest tam ołtarz drewniany z podobieństwem trumny na wierzchu, w której spoczywają szczątki kości w adamaszku purpurowym. Wybornie zachowaną czaszkę pokrywa czepiec z siatki jedwabnej, przetykanej złotem. Aleksander hr. Przezdziecki, przejeżdżając przez Kolonią w r. 1848, wyszukał te szczegóły, przywrócił napis zachowany w aktach świątyni i dodał nowy polski. Oto łaciński napis w przekładzie polskim: „Roku wcielenia Bożego 1057 d. 14 kwietnia, Richeza (Ryxa) królowa, za Annona II stolicy tej dostojnego arcypasterza, założyciela niniejszego kościoła, przy nadzwyczajnym napływie całego duchowieństwa i ludu uroczyście została pogrzebioną i przez samego biskupa wprowadzona. Zapisawszy dwie znakomite ofiary świętemu gmachowi, zmarła 5 kwietnia.” Dodany napis polski, brzmi jak następuje: „Tu leżą zwłoki Ryxy, królowej polskiej, żony Mieczysława II, matki Kazimierza Odnowiciela Państwa, † 1057 roku.

*** Dawno już temu wierzono w uczciwość i sumienność niemiecką — później niezbyt jeszcze dawno wierzono w uczoność niemiecką; pierwszemu mniemaniu zadał kłam wyrok w sprawie czcigodnego Kraszewskiego — uczoności artykuł osławionej „Posener Ztg.”. Z niej to, z okoliczności obrazu Matejki „Hołd Pruski”, świat dowiaduje się: że Polska ulegała zawsze potędze germańskiej; że bitwy Bolesława Chrobrego były tylko wycieczkami przeciw drobnym siłom; że książęta polscy boso składali hołd obrażonym na siebie cesarzom; że zwycięztwo Jagiełły było prostym wynikiem przewagi liczebnej i t. p. „Tak, mówi postępowo-wolnomyślny organ niemiecki, Polacy mieli niegdyś w posiadaniu lennem część dzisiejszej prowincyi wschodnio-pruskiej, ale sami zawsze byli poddanymi cesarza niemieckiego; Niemcy zawsze mieli przewagę nad Polakami, *mają ją dziś i zawsze mieć będą*” — ale większe miłosierdzie Boże niż zawziętość ludzka, i dlatego śmiało spodziewać się możemy, że i w tem ostatniem twierdzeniu tyle jest i będzie prawdy co i w poprzednich. Natomiast żadna władza ludzka nie zdoła wydrzéć z dziejów i wymazać z kart historyi tak Prus i Polski faktu nie ulegającego zaprzeczeniu: iż Wielki Mistrz krzyżacki Albrecht, zrzuciwszy płaszcz zakonu i zaparłszy się wiary, którcj miał być obrońcą, klęcząc na rynku krakowskim dnia 8 kwietnia 1525 roku, odebrał z rąk króla polskiego Zygmunta I-go, ową białą chorągiew z czarnym orłem, mającą odtąd stać się herbowem godłem dla niego i jego następców.

WIADOMOŚCI Z ZAGRANICY.

*** W Rusi Galicyjskiej zaczynają powstawać różne stowarzyszenia kobiet rusińskich. Pierwsze zawiązało się w Stanisławowie, a na jego czele stanęła pani Natalja Kobryńska, córka księdza Ozorkiewicza, posła do Rady Państwa. W przemowie pierwszej oznajmiła, że celem stowarzyszenia będzie literackie wykształcenie Rusinek, dążność do uszlachetnienia pożycia towarzyskiego w rodzinach rusińskich a nakoniec wzmocnienie w nich czci dla ideałów narodowych. Zaraz w dniu otwarcia 54 uczestniczek zapisało się do towarzystwa.

*** Na ostatnim konkursie w Paryżu w wyższej szkole rysunkowej dla kobiet, zostającej pod kierunkiem znakomitego malarza p. Julien, drugie i trzecie „honorowe odznaczenie” uzyskały dwie młode Polki, panny Bielińska i Dulębianka. Na sto kilkadziesiąt uczenic Francuzek, Angielek, Amerykanek — żadna nie otrzymała pierwszej nagrody. Do szkoły tej uczęszcza tylko trzy Polki.

*** Wyprawa naukowa urządzona kosztem i odbyta pod przewodnictwem hr. Lanckorońskiego powróciła do Wiednia, zwiedziwszy Pamfilę, część Pizydii i Lakonię. Do Krakowa wrócili już dwaj jej uczestnicy, profesor Maryan Sokołowski i artysta malarz J. Malczewski, hr. Lanckoroński zakupił znakomite dzieła sztuki i przedmioty muzealne. Wyprawa tegoroczna jest dopiero początkiem badań mających być ponowionemi w ciągu dwóch lat następnych.

*** Znana filantropka angielska, posiadająca kolosalny majątek, pani baronowa Burdett-Coutts, przed kilku tygodniami odbierała hołdy wdzięczności od mieszkańców miasteczka Skibbereen w Irlandyi. Niezbyt jeszcze dawno, biedna ta ludność literalnie wymierała z głodu — a dziś, dzięki tej wspaniałomyślnej pani, mieścina nędzna zamieniła się w bardzo korzystny i coraz pomyślniej się rozwijający zakład rybacki. Ciż sami mieszkańcy, których nędza najwyższa zwracała uwagę Europy, a marszałkowa Mac-Mahon kwestą i zbieraniem stałych składek przychodziła im w pomoc, obecnie w porze rybołówstwa, gdy ryb jest dostatek, zarabiają niekiedy do stu funtów szterlingów w ciągu jednej nocy. Setki wynajętych wyrobników ładują ryby na okręta rozwożące je do wszystkich portów Anglii. Flota rybacka liczy obecnie przeszło czterysta statków, a oprócz tego regularnie kursują liczne parowce między Milford i Baltimore, odstawiające owoc bogatych połowów. Miejscowy kapłan katolicki, ks. Davis przechadza się teraz z rozpogodzonem czołem nad wybrzeżem w pośród swych, tak niedawno jeszcze, w najstraszniejszej nędzy pogrążonych parafian, błogosławiąc czcigodną ich opiekunkę i śpiewa *Te Deum*

ilekroć nowy statek rybacki spuszczony bywa na wodę. A wszystko to jest dziełem jednej szlachetnej i dobroczynnej kobiety.

*** Znany astronom wiedeński d-r Wilhelm Meyer i znakomity malarz teatru nadwornego Burghart, postanowili urządzić szereg obrazów ze świata gwiazd. Obrazy te, malowane efektownym penzlem Burghart'a i spotęgowane odpowiednio zastosowanem oświetleniem, wielkie wywierają wrażenie. W tych dniach odbyła się w Wiedniu generalna próba, na której ukazano zaproszonym gościom zupełne zaćmienie słońca we wszystkich fazach, z widokiem na Walencyą. Następny obraz przeniósł widzów blizko słońca, na którym ujrzeli olbrzymie ognie, oświetlające i ogrzewające ziemię. Dwa ostatnie obrazy przedstawiały zachód słońca i wschód księżyca na brzegach Lemanu. Już w ostatnich dniach grudnia miano przedstawiać cały szereg tych obrazów, między któremi widzowie zobaczą planety swobodnie zawieszone w powietrzu, drogę mleczną, mgławice i t. p. Muzykę sfer niebieskich udaje przy tych przedstawieniach harmonium, illustracyę obrazów stanowią odczyty popularne, ułożone przed doktora Mayera, a wypowiadane przez pana Grönland.

*** Liście rośliny Coca opisywano już w ubiegłem stuleciu, cudowne przypisując im skutki. W roku 1859, przywiózł je do Wiednia dr. Schoner, uczeń sławnego Woehlera. Nieman wydobył z nich alkoloid, który nazwał Kokainą. Po dość długiej przerwie, rozpoczął nowe doświadczenie z Cocainą dr. Freud, i rezultata okazały się zdumiewające. Nasi doktorzy zastosowywali ją w ostatnich czasach z najlepszym skutkiem przy operacyach ocznych. Nadto użycie Cocainy w ilości 5 do 10 centygramów, nadaje organizmowi taką sprężystość i wytrzymałość, iż dozwala człowiekowi pracować dni kilka bez snu i pożywienia, jeźli jednak nie zachodzi tego potrzeba, można przy jej użyciu jeść i spać spokojnie. Cocaina ma jeszcze tę wyższość nad wszelkiemi zastosowanemi dotąd w medycynie środkami ubezczulającemi, że nie pociąga za sobą żadnych złych następstw.

*** Fabryczna firma Rappael w Berlinie, wyrabia obecnie okulary z miki, nader pożyteczne dla robotników, pracujących dnie i noce przy odlewach z metali, których działanie wielkiego żaru naraża często na utratę wzroku. Mika jest wytworem złożonym z krzemianu glinowego i tlenku żelaza w połączeniu w krzemianem potażu i stanowi jeden z najgorszych przewodników ciepła. Odznacza się doskonałą przezroczystością i brakiem wszelkiego zabarwienia w cienkich warstwach, oporem działaniu wszelkich kwasów i wysokiego gorąca, oraz łatwością rozszczepiania się na cienkie blaszki. Przy szlifowaniu metali, gdy szklane okulary łatwo pękają pod wpływem odszczepów metalowych, mika dzięki swej elastyczności, daleko silniejszy stawia opór. Nakoniec lekkość szkieł i bardzo nizka ich cena, nie przenosząca 50 kop., ważną stanowi zaletę. Oprócz okularów, wyrabiają także z miki maski, pół twarzy zajmujące.

Wyroby te znane już były w specyalnych zakładach, od roku 1868, ale dopiero tegoroczna wystawa higieniczna w Berlinie, wykazała i rozgłosiła ich pożyteczność.

*** Kanał między oceanem Atlantyckim i morzem Śródziemnem. Gdy przed ośmnastoma laty Emil Augier pisał swoją piękną komedyę: „la Contagion". nie spodziewał się zapewne, iż mrzonka jego, około której obraca się intryga sztuki, stanie się w stosunkowo niedługim czasie blizką urzeczywistnienia. Bohater jego, inżynier, wypracował projekt kanału między morzem Śródziemnem i oceanem, ktśry odcinając Gibraltar od stałego lądą, niweczył wyjątkowe znaczenie cieśniny gibraltarskiej, i oswobodził żeglugę międzynarodową od zależności Anglii. Projekt ten, aczkolwiek w nieco odmiennej formie, jest teraz na seryo brany pod rozwagę przez rząd francuzki i kapitalistów, i według korespondenta z Madrytu do dziennika „Temps" rozpoczęte już zostały przedwstępne studya kanału, któryby półwysep hiszpański zamienił na wyspę, i wychodząc z Garonny, przechodząc koło Tuluzy, wpadał do morza Śródziemnego w pobliżu Narbonny. Kanał projektowany miałby być dostępnym dla największych okrętów. Kapitaliści stojący na czele tego nowego wielkiego przedsiębierstwa, zażądali od rządu francuzkiego 10 milionów franków rocznej gwarancyi począwszy od 1889 roku, w którym to czasie, kanał mógłby być skończonym i otwartym dla żeglugi.

*** W pewnem uczonem gronie profesorów sprzeczano się o mniej więcej starożytne pochodzenie tej lub owej nauki. Bah! zawołał jeden z młodych uczonych, ależ to kwestya dawno już rozstrzygnięta! Postawienie w raju drzewa wiadomości złego i dobrego — pierwszy dogmat: teologia. Wyjęcie żebra Adamowi — pierwsza chirurgiczna operacya — medycyna. Rozprawa o jabłku między wężem i Ewą — pierwsza dedukcya filozoficzna: filozofia. Wypędzenie Adama i Ewy z raju — pierwszy wyrok prawny. Zabójstwo dokonane przez Kaina na osobie Abla — pierwszy kryminał — jurysprudencya."

NOWE WYDAWNICTWA.

Kilka uwag prawnika o procesie Kraszewskiego, skreślił Stanisław Zalewski. Jest to krytyczny rozbiór wszystkich zarzutów zrobionych w skardze przeciw naszemu Jubilatowi, wykazanie ich bezzasadności i dowiedzenie, że stał się ofiarą najniesprawiedliwszego wyroku i własnej poczciwej dobroduszności. Rzecz bardzo ciekawa i równie zajmująco napisana.

Nakładem Księgarni Krajowej Konrada Prószyńskiego, wyszła broszurka p. t. Jan Kochanowski, jego pieśni i pamiętnik po nim, w trzysta lat po śmierci tego pieśniarza napisał Kazimierz Promyk, z kilkunastu obrazkami według fotografii zdjętych na miejscu przez autora.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Ubranie na lekcye tańca. Sukienka batystowa lub z lekkiego materyału wełnianego, ozdobiona haftem maszynowym lub koronką. Vêtement ma kamizelkę marszczoną z niebieskiej materyi surah, takież kokardy ze wstążki; spódniczka z marszczonemi falbankami, zaszytemi w drobne zakładki.

Ubranie balowe z aksamitnym trenem. Krótka suknia jedwabna przykryta wolantami koronkowemi, takiż staniczek wycięty, bez rękawów. Draperya przerzucona przez ramię, krótko podpięta z przodu i wielki tren, są z gładkiego aksamitu. Bukiety wodnych kwiatów.

Ubranie wizytowe. Suknia z kolorowego gładkiego, wełnianego materyału, przybrana materyałem w rzucik sznelowy. Krótka fartuszkowa tunika zdobna z boku szerokim wykładem deseniowym; tył-ny bryt u góry podniesiony w bufę, niżej spuszczony w fałdach. Stanik bawetowy z rękawami do łokci, zdobny koronką, ma kołnierzyk stojący i ramwers deseniowy.

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. Krzeczkowskiej w Odesie. Znaki używane w opisach kroju sukien jak: krzyżyk, punkt, dwukropek i t. p. oznaczają na formach naturalnego rozmiaru złożenie czyli głębokość fałd, lub służą do zestawienia z sobą wszystkich części kroju, tak samo jak używane w Tygodniku litery i cyfry, na zmniejszonych zaś formach, wskazują tylko miejsce fałd bez oznaczenia ich miary. Cienkie proste linie oznaczają zwykle jakąś zmianę w wykroju pod szyją, w podcięciu baskiny, brzeg kamizelki na formie przodu, mankiet na rękawie, lub t. p. Linijki przerywane (kropkowane) oznaczają środek lub złożenie formy, co zawsze objaśniamy napisem na arkuszu lub w szczegółowym opisie.

Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

Дозволено Цензурою. Варшава, 3 Января 1885 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 20.

Dodatek.

Opis do N-ru 2.

(Dokończenie.)

N. 33. Ubranie strojne wizytowe z trenem. Krój na arkuszu N. XIX, fig. 81—82.

Tylne bryty sukni przedłużone w olbrzymi tren (patrz *c* i *d* na fig. 81) przód zaś zakończony szerokim wolantem składanym w podwójne kontrafałdy, dopełniony w górze upięciem, którego wymiar daje fig. 82. Brzegi boczne draperyi, ściśle sfałdowane wpuszczone są w szew boczny sukni. Górny brzeg trenu składa się w poczwórną kontrafałdę i wszywa w pasek. Szarfa z tej co suknia materyi 22 cent. szeroka, składa się w dwa pukle, po 58 cent. długie i w dwa końce wysiepane u dołu, po 82 cent. długości. Stanik bawetowy sznurowany z tyłu, zdobny bertą z koronki. U dołu sukni balejeza koronkowa.

N. 34. Ubranie wieczorowe z bluzkowym stanikiem.

Spódnica z kolorowego atłasu oszyta u dołu plisowaniem i koronką 14 cent. szeroką, wyżej pokryta na 60 c. długości) materyałem koronkowym lekko nafałdowanym. W podwójną bufę upięta draperya przednia wymaga bryta koronkowego 200 cent. szerokiego, 70 długiego, z tyłu zaś dany bryt 90 cent. szeroki, 164 długi. Staniczek bluzkowy, marszczony z materyału koronkowego na jedwabnej podszewce, zdobny rzędami białych pereł. Pasek z wstążki kolorowej. Wachlarz w kształcie olbrzymiej róży.

Opis do N-ru 3.

N. 1 i ryc. 8 w N-rze 4. Suknia z krótką draperyą.

Model sukni przedstawionej z przodu i z tyłu na ryc. 1 i ryc. 8 w N. 4, odrobiony był z dyagonalu gładkiego z przerabianego w paski 1 i pół cent. szerokie aksamitne „velours frisé”. Spódnicę z materyału podszewkowego, oszytą u dołu wolantem 20 cent. szerokim, ułożonym w kontrafałdy, pokrywają aż do draperyi górnej wolno spuszczone bryty z materyału w paski, z jednego boku otwarte aż do draperyi górnej i łączone kokardami z wstążki aksamitnej, 6 cent. szerokiej; w odstępach pomiędzy kokardami wystają bufki z gładkiej materyi. Górna draperya upięta jest z bryta gładkiego, 115 cent. długiego, a 132 szerokiego, trochę skośnie ułożonego, z jednej strony aż do paska, a z drugiej do 37 cent. długości sfałdowanego; krócej podpiętą stronę dopełnia z boku bufa ułożona z kawałka materyału, 50 cent. długiego, a 100 cent. szerokiego. Tylne bryty draperyi 100 cent. długie, a 170 szerokie, są najpierw w górnym brzegu sfałdowane, następnie złożone w pukiel 29 cent. długi i wszyte w pasek od spódnicy, zarówno jak i jeden brzeg boczny, któren na 30 cent. długości jest od dołu luźno spuszczony a dalej sfałdowany. Brzeg dolny do tego boku dotykający, podszywa się na 88 cent. szerokości a 30 cent. wysokości, materyałem w paski aksamitne; dalsze upięcie draperyi wskazuje ryc. 1 i ryc. 8 w N-rze 4. Stanik z szalowym wykrojem, pod któren dodane są części kamizelkowe, zapięty z przodu na metalowe agrafy, ma do baskiny dodany ranwers z przodu i przy pleckach 5 cent., a z boków na biodrach 2 cent. szeroki. Kołnierz wykładany 5 cent. szeroki jest w końcach zwężony do 1 centymetra. Mankiety mają 6 cent. szerokości.



N. 1. Suknia z krótką draperyą. Patrz ryc. 8 w N-rze 4.

N. 2. Suknia z długą draperyą. Patrz ryc. 42 w N-rze 4.

N. 2 i ryc. 42 w N-rze 4. Ubranie wizytowe z długą draperyą. Model kroju draperyi na ryc. 47 w N. 4.

Spódnicę podszewkową, oszytą u dołu plisowaniem 10 cent. szerokiem, pokrywa luźno spuszczona spódnica z faille, z tyłu zmarszczona, a z przodu w dwie 48 cent. szerokie kontrafałdy złożona i w pasek wszyta. Z boków spuszczone są luźno części garnirunkowe, materyą podszyte mające 85 cent. długości, a 25 cent. szerokości, które na modelu przy sukni mchowo-zielonego koloru dane były z adamaszku w dessń turecki na tle łososiowego koloru. Przedni bryt draperyi, która zarówno jak i stanik dana była z kaszmiru, jest podług *a* z prawego boku sfałdowany i wszew boczny wszyty, a górny brzeg gładki i brzeg lewy sfałdowany wszywa się w pasek. Na tylnym brycie *b* linijka zaokrąglona oznacza, jak szeroko z obydwóch boków trzeba go podszyć materyą. W środku bryta daje się rozporek 70 cent. długi, następnie jedną część górnego brzegu sfałdowaną, wszywa się w odstępie 20 cent. od paska przy pierwszym szwie bocznym, pod przednią draperyą na spódnicy, a 36 cent. niżej oznaczone przefałdowanie, przyszywa się przy tylnym brzegu bocznego bryta spódnicy. Od 36 do 48 przyczepia się brzeg rozporka, poniżej paska od spódnicy, a dalej aż do 70, przy jej rozporku. Kaftaniczkowe przody stanika podszyte są w górze adamaszkiem i wywinięte jako ranwersy 17 cent. długie, pod spód części kamizelkowe, krótkim bawetem zakończone. Pod ranwersami przody spięte są patką z guziczkami, a 8 cent. niżej wycięte wzdłuż brzegów na 4 cent. szerokości i luźno spuszczone. Baskina przy boczkach i plecach przecięta w szerokie patki, jest luźno spuszczona i przyozdobiona guziczkami z konchy perłowej, w sposób wskazany na ryc. 42 w N-rze 4. Z przodu wzdłuż na spódnicy, spuszczone są długie ozdoby szmuklerskie z jedwabiu w kolorach tureckich.

N. 6—7. Przykrycie na poręcz krzesła. Haft różno kolorowy.

Za wzór do haftu służył fartuszek do narodowego rumuńskiego stroju. Ryc. 7 przedstawia część deseniu w naturalnej wielkości, któren robiony był na tle wełnianem czarnem, włóczkami kolorowemi, ściegami wskazanemi na deseniu. Włóczki „crevel” dzieli się do haftu. Przykrycie na poręcz krzesła robione było na materyi bladego koloru dzieloną filozelą. Haft wykonywa się na kanwie średniej cienkości niedzielonej, kontury i ściegi pojedyńcze bawełną białą, a wyszycia łańcuszkowe i zapełnienie tła ściegiem długim kolorami niebieskawo-zielonym, ognistym, orzechowo żółtym i trawnym. Złote blaszki wzbogacają haft, a brzegi poprzeczne przykrycia, oszyte koronką złotą.

N. 11. Koszyczek do cygar.

Składa się z czterech ścianek tekturowych po 11 cent. wysokości, 8 cent. u góry, 6 u dołu szerokości, pokrytych z wierzchu i wewnątrz ciemno zieloną materyą. Zwierzchnie przyozdobienie stanowi kratka robotą wiązaną (macrame) z nici szarych, wskazana w naturalnej wielkości na ryc. 40 w N-rze 4. Na czterech kantach koszyczka przytwierdzone są kordonkiem jedwabnym pręciki trzcinowe u góry zakończone gałkami, u dołu wystające jako nóżki.

N. 13. Torebka do zegarka.

Podstawę stanowi kwadracik tekturowy 15 cent. długi, wewnątrz pokryty gładko ponsowym atłasem, zewnątrz tegoż koleru pluszem, następnie złożony dwoma rogami do siebie, podług ryc. 13, a trzeci róg założony w górę i pokryty bufą atłasową, stanowi woreczek do wpuszczenia zegarka. Na rogach pluszowych wyszyte są gwiazdki kolorowym jedwabiem, ściegiem luźnym. Brzegi torebki zakończone są torsadką sznelową, u dołu zaś dane są grelotki sznelowe i złote; przy górnym brzegu przymocowany haczyk do zawieszania.

N. 14—15. Koszyczek do nici.

Kształt koszyczka wygięty z bronzowych pręcików, ma dodane boki i denko z tektury powleczonej ponsowym atłasem, na bokach podłużnych dany szlak haftowany, przyczepiony nakształt lambrekiny, którego część wskazana w naturalnej wielkości na ryc. 15. Tło stanowi plusz ponsowy, kwadraciki odznaczone są bajorkiem złotym, gwiazdki zaś kolorowym jedwabiem; długie ściegi wyszyte w dolnej połowie jedwabiem złoto-żółtym. Kokardy z wstążki atłasowej 2 cent. szerokiej.

N. 18. Krawatka z kolorowym szlakiem.

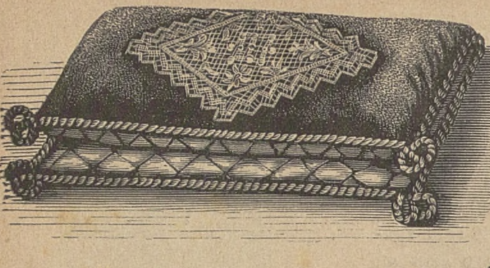
Z materyi mienionej zielono z ponsowym, liczy 18 c. szerokości a 128 cent. długości, ma u dołu 8 cent. szeroki szlak piaskowy, na którym wyrobione są fabrycznie kolorowe tulipany, złote miecze i ponsowe smoki.

N. 19. Krawatka z koronką.

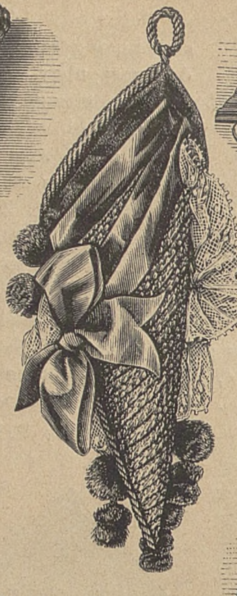
Uszyta z kawałka kremowego atłasu 180 cent. długiego, a 15 szerokiego, oszytego gładko koronką gipiurową 5 cent. szeroką, niżej dane drobniutkie przemarszczanie atłasowe, a u dołu 10 cent. szeroka, suto namarszczona koronka.

N. 21. Sukienka z paletocikowym stanikiom, dla dziewczynki lat 7—9. Patrz ryc. 34 w N-rze 4.

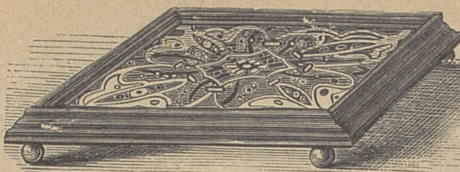
Plecy paletocika mają baskinę o 9 cent. dłuższą od boczków, dopełnioną od spodu karoczkiem, złożonem w kontrafałdy; szeroko otwarte przody, mają oryginalną bufiastą kamizelkę; przyszytą na staniku z podszewki, zapinanym z tyłu a przedłużającą się w draperyę dolną, z boków zebrana w fałdy. Bufka tylna dodana z oddzi



N. 25. Teka do chusteczek batystowych.



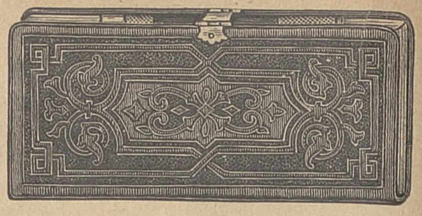
N. 28. Koszyczek na ściereczkę do kurzu.



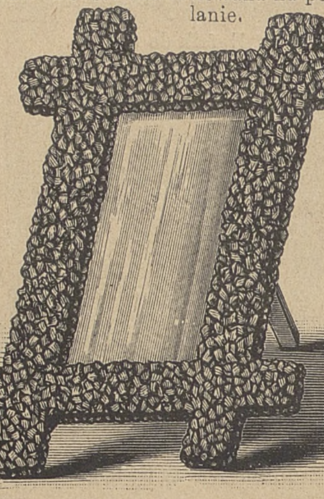
N. 27. Podstawka malowana na porcelanie.



N. 29. Koszyczek na ściereczkę do kurzu. Patrz r. 12 i 30.



N. 26. Książeczka do notatek.

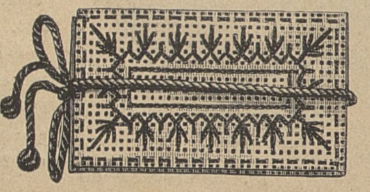


N. 31. Ramki z mozajki korkowej. Patrz ryc. 41.

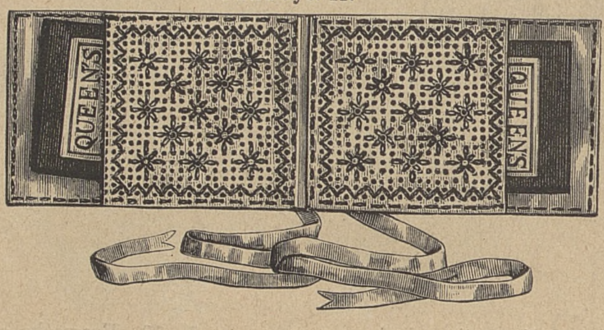
wskazane są na deseniu. W koło poduszeczka oszyta jest marszczoną koronką, a w górze dana kokarda z wązkiej wstążki, służąca do zawieszenia poduszeczki.

N. 7. Woreczek do zegarka ozdobiony aplikacyą. Deseń na ryc. 13.

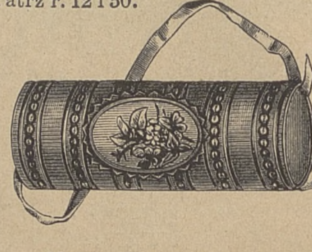
Na ryc. 13 dajemy w naturalnej wielkości formę i deseń zwierzchniej części woreczka do zegarka, część spodnią trzeba w górze przedłużyć o 2 cent. Obie połowy przykrawa się z sukna czarnego, z podszewką z ponsowej flanelki, dodając z brzegów pół cent. na odzierganie robione kordonkiem ponsowym, za które spaja się woreczek nieznacznemi ściegami. Aplikacyą daje się z wyciętych podług deseniu figur, z sukna niebieskiego, żółtego, ponsowego i zielonego układając kolory dowolnie. Figury są najpierw przyszyte do tła nieznacznemi ściegami, a następnie przyhaftowane z brzegów ściegiem sznureczkowym. Z brzegów nad dzierganiem wyszyta linijka ściegiem sznureczkowym, kordonkiem zielonym. Do zawieszenia woreczka służy jedwabna torsadka 16 cent. długa a 1 cent. szeroka, przymocowana pomponami w kolorach sukna.



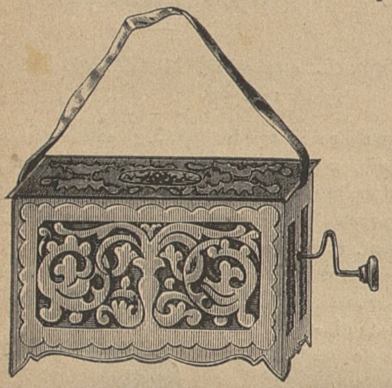
N. 32. Książeczka do igieł. Patrz ryc. 33.



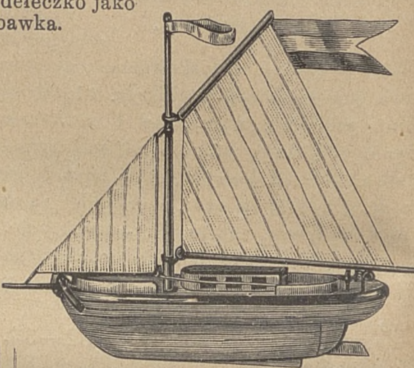
N. 33. Książeczka do igieł, otwarta. Patrz ryc. 32.



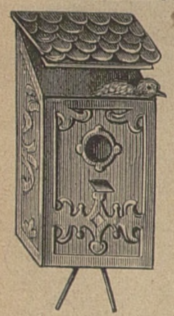
N. 34. Pudełeczko jako zabawka.



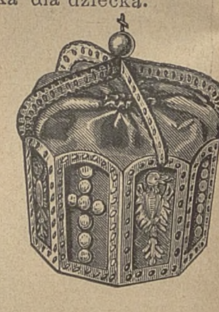
N. 35. Katarynka. Zabawka dla dziecka.



N. 36. Łódka z korka z żaglem z papieru ołowianego, jako zabawka dla dziecka.



N. 37. Kurnik jako zabawka.

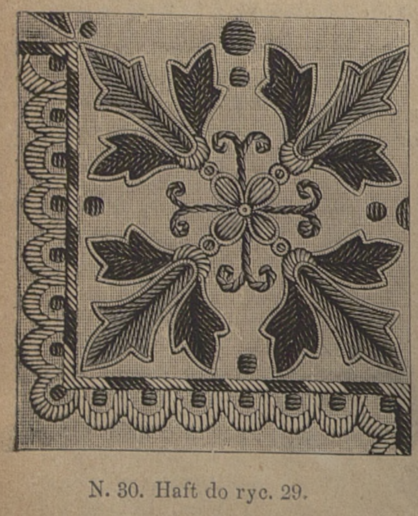


N. 38. Pudełeczko w kształcie korony.

N. 9. Suknia z paletocikowym stanikiem dla niemłodej osoby.

Model sukni łączącej dystynkcyą z prostotą, odrobiony był z ciemno-bronzowego aksamitu i atłasu. Przód i boki spódnicy pokrywa aksamitna część garnirunkowa, w górze do paska dochodząca, a u dołu przecinana w patki 27 cent. długie a 14 szerokie z pod których u dołu i między przecięciami wygląda 35 cent. szerokie plisowanie z atłasu. Bryt tylny 116 cent. szeroki marszczy się w górze i spuszcza wolno do dołu. Baskinę stanika zapiętego z przodu na guziczki mającą 25 c. długości, zeszywa się na szwach tylnych tylko na 5 cent. za wcięcie w pasie, między szew środkowy wstawia się część plisowaną z atłasu, a otwory boczne zdobi, naszyta w sposób wskazany na ryc. 9 koronka wełniana 9 cent. szeroka, koloru złotego, którą oszyty jest także brzeg baskiny i mankiety.

(D. n.)

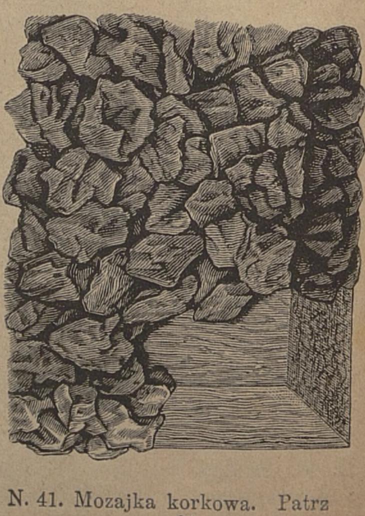


N. 30. Haft do ryc. 29.

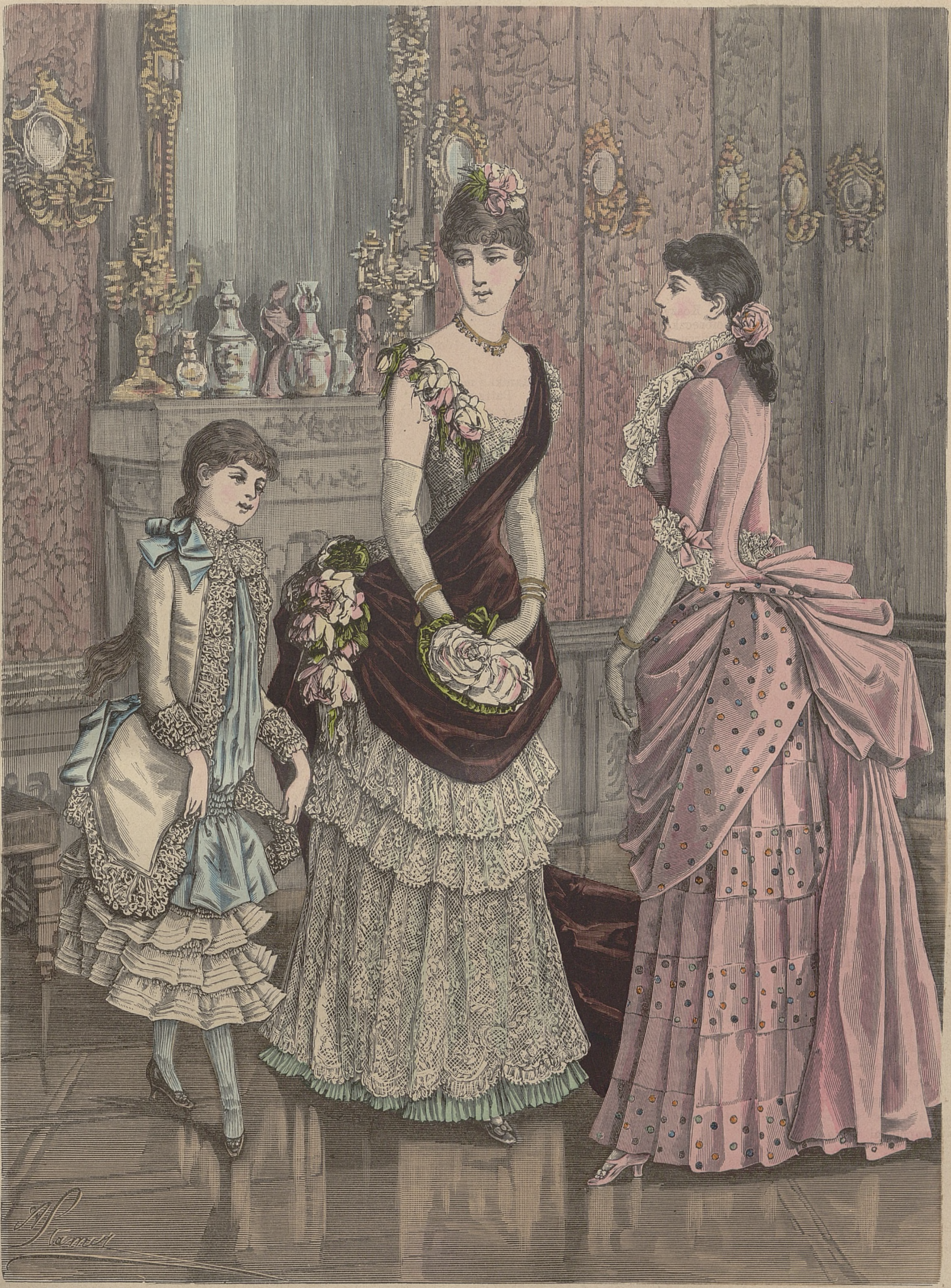


N. 39. Ubranie domowe z draperyą nakształt szarfy.

N. 40. Ubranie domowe z draperyą fałdowaną.



N. 41. Mozajka korkowa. Patrz ryc. 31.



Pl. 597.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.